

Czekając na dzieło

Agata Gwizdała: Trudno było zostawić za sobą sukces, żeby wejść w nowy projekt?

Mariusz Wilczyński: Bardzo. Myślałem, że zaraz po Berlinale zacznę pracować nad nowym filmem. Ale ten, jak pani to nazwała, sukces wybił mnie na ponad dwa lata. Nie mogłem zająć się niczym innym, bo praktycznie cały czas musiałem mówić o „Zabij to...”. Poza tym zdarzyły się rzeczy, których w ogóle się nie spodziewałem.

Jak potoczyło się drugie życie filmu?

Najpierw była duża wystawa w Zachęcie w Warszawie. Czteromiesięczna. Potem ekspozycje w Krakowie, w tarnowskim BWA. Wystawa w Muzeum Kinematografii w Łodzi miała trwać dwa miesiące, ale z powodu wysokiej frekwencji została przedłużona do pół roku. Ludzie pytali, czy mogą sobie zrobić tatuaż z rysunków z „Zabij to...”. Potem przysyłali mi zdjęcia. To był niezwykle intensywny czas. I chociaż może to brzmieć trochę fałszywie, proszę uwierzyć, że to prawda – marzyłem, żeby stworzyć przestrzeń w głowie na nowy film i cały czas jej nie miałem. Szczególnie, że „Zabij to...” miało premierę w 2020 roku, a dla mnie ten film był skończony już w 2018 roku. Ta historia w mojej głowie była wtedy już zamknięta. Potem zajmowaliśmy się postprodukcją, szlifowaniem.

A wcześniej praca nad filmem trwała kilkanaście lat.

To jednak był proces twórczy, najpiękniejsza przygoda i najpiękniejsza podróż w moim życiu. Ale w tej chwili odbywam kolejną.

Podróż, której celem jest „Na mój pogrzeb w czerwonej sukni przyjdź”?

To tytuł roboczy, co do którego mam pewne obiekcje. Znowu jest długi, taki bardzo poetycki i znowu trochę kojarzy się z Tadeuszem Nalepą, z Bogdanem Loeblem i z Breakoutem. Mam drugi pomysł, ale każdy, z kim rozmawiam, mówi, że ten roboczy jest mocny i dobry. I być może zostanie.

Całą rozmowę można przeczytać w lutowym numerze „Kalejdoskopu” 2/2025.